

Obersalzberg w Alpach Bawarskich, 1934 rok. Adolf Hitler witany w drodze do swego letniego domu Berghof. Historycy szacują, że popierało go wówczas od 50 do 65 proc. Niemców. Po wojnie entuzjazm wobec nazistów Niemcy przemilczali, podobnie jak zbrodnie wojenne i Holocaust. Zaczęło się to zmieniać dopiero w latach 60. XX wieku.



BEZ/W

NIEMCY – CUD PRZEMIANY

Pociągi jeździły do końca wojny

Obecna niemiecka prawica nie zaprzecza prawdzie, lecz próbuje pomniejszyć zbrodnie nazizmu. Mówi: „Owszem, tak było, ale cóż znaczy te 12 lat reżimu wobec tysiąca lat historii niemieckiego narodu. Tyle co pchle gówno”

Z WYBITNYM HISTORYKIEM NIEMIECKIM PROF. **ULRICHEM HERBERTEM*** ROZMAWIA **MACIEJ STASIŃSKI**

MACIEJ STASIŃSKI: Na wrześniowej konferencji o pamięci historycznej w Gdańsku bronił pan faktów przed pamięcią historyczną indywidualną lub zbiorową, profesjonalnej historii przed manipulacjami politycznymi lub ideologicznymi. W Polsce mamy z tym wielki kłopot. Czy to w ogóle możliwe? Czy w Niemczech, które musiały się oporać z nazistowską przeszłością, to się udało?

ULRICH HERBERT: Nie wiem, czy to możliwe, ale wiem, że konieczne. Nauka historii, profesjonalna historiografia zawsze są w sporze z pamięcią historyczną, zwłaszcza w politycznie skomplikowanych czasach. Ale nasze zadanie polega na ustalaniu faktów. Mój nauczyciel historii mawiał: „Zajmujemy się prawdą”.

Ludzie mają swoją pamięć i prawo do niej. Ale nauka musi dowieść tego, co twierdzi o rzeczywistości. To nie jest wyrażanie opinii, tylko ustalanie, co się wydarzyło. Musimy też umieć oddzielać to, co słuszne, od tego, co złe.

W Niemczech zajęło nam kilka dziesięcioleci ustalenie faktów z czasu wojny i rządów nazistów, mimo że po wojnie kilkaset tysięcy Niemców świetnie je znało. Ale milczeli, woleli o tym nie mówić albo świadomie kłamali.

Zewnętrznemu obserwatorowi trudno w pełni uchwycić to, co się wydarzyło w Niemczech między latami 60. ubiegłego wieku a ostatnim dziesięcioleciem. Ten proces przemian dzielił rodziny, środowiska, profesorów, nauczycieli. Przykład: znany, bardzo wykształcony i miły człowiek, osoba o liberalnych, socjaldemokratycznych przekonaniach, profesor literatury w Akwizgranie, a potem nawet rektor miejscowego uniwersytetu, który w czasie buntu studenckiego w 1968 r. stanął po stronie studentów, okazał się byłym wysokim oficerem SS w czasie wojny.

Po wojnie młody człowiek zdołał się ukryć, zmienił miejsce pobytu i nazwisko. Pod prawdziwym nazwiskiem został uznany za zmarłego. Pod nowym ożenił się z wdową po samym sobie. Jego prawdziwa tożsamość i przeszłość wyszły na jaw w latach 80. Mimo to wypierał się wszystkiego. Takich przypadków było bardzo wiele.

Większość Niemców naprawdę nie wierzyła w rozmiary nazistowskich zbrodni popełnio-

nych na wojnie. Bo w pewnym sensie trudno było to uwierzyć.

Od lat 60. trwała debata o przeszłości. Najpierw toczyła się według podziału na lewicę i prawicę - i niewiele dała. Ale potem zaczęło się ukazywać coraz więcej książek o Trzeciej Rzeszy i wojnie. Krok po kroku gromadzona była ogromna wiedza.

W latach 70. było już wiadomo dokładnie, kto, gdzie, kiedy, co zrobił, w jakiej wiosce czy miasteczku na wschodzie oficer SS czy policjant kogo mordował. W trakcie przygotowywania procesów nazistów zebrano przez lata tysiące świadectw.

Brałem wówczas udział w projekcie historii mówionej, czyli gromadzeniu rodzinnych świadectw ludzi urodzonych w latach 1910-20. Wspominali, że w czasie wojny było w ich otoczeniu „mnóstwo cudzoziemców”. „Ciągłe byli jacyś obcokrajowcy” - mówili. „Jacy obcokrajowcy?” - dopytywałem. „Może jeńcy wojenni?”. „Nie, nie, młode dziewczyny” - mówili na przykład.

W tym czasie ukazała się książka amerykańskiego historyka „Zagraniczna siła robocza w nazistowskich Niemczech”. A przy okazji procesu dowódców SS odpowiedzialnych za sprowadzanie siły roboczej zebrano też tysiące opinii od świadków.

Zabrałem się do roboty i napisałem książkę o robotnikach przymusowych w Trzeciej Rzeszy. Wydałem ją w 1985 r. Sprzedało się ponad 10 tys. egzemplarzy - bardzo dużo jak na pracę naukową. Występowałem w telewizji i w gazetach.

W książce napisałem, że w czasie wojny do Niemiec zostało sprowadzonych 11 mln robotników przymusowych, czyli tyle samo, ilu czarnych niewolników z Afryki objął cały handel niewolnikami w obu Amerykach od XVI do XIX w. To był wstrząs i rozpoczęła się wielka debata, m.in. o odszkodowaniach. Niektórzy potrafili utrzymać, że ci robotnicy nie zostali wcale sprowadzeni z politycznych powodów, lecz z naturalnej konieczności ekonomicznej!

Mówię o tym, by pokazać, jak wiele lat zajęło nam ustalenie, co się naprawdę działo w czasie wojny. Ale najważniejsze było przekonywanie opinii publicznej, że tak było, i sprawienie, by uznała fakty. Zgromadzenie wiedzy o przeszłości to jedno, ale drugie to wola społeczeństwa, by ją uznać.

Ale to się dokonało. Prawdziwym cudem w niemieckich dziejach nie był wcale cud gospodarczy, lecz przekształcenie społeczeństwa nazistowskiego w społeczeństwo liberalno-demokratyczne.

Uważa pan Niemcy sprzed debat w latach 60. ubiegłego wieku za społeczeństwo nazistowskie?

- Tak, mentalnie tak. Chociaż to wcale nie znaczy, że wszyscy Niemcy byli aktywnymi nazistami albo nazistami z przekonania. W 1933 r. większość Niemców też była przecież przeciwna nazistom, ale nic nie zrobiła.

Oczywiście reżim miał pełną kontrolę nad krajem. Ale w latach 1936-43 miał za sobą już większość Niemców. Szacujemy, że popierało go wówczas od 50 do 65 proc. obywateli. Najwyższą popularność osiągnął latem 1940 r., po pokonaniu Francji. Niemcom wydawało się, że wojna została wygrana i zakończona. Euforia.

Jest na to wiele świadectw. W latach 70. i 80. opublikowano listy krążące potajemnie między socjaldemokratami w Niemczech i ich kolegami, którzy uciekli na emigrację. Wszyscy byli antynazistami, ale pisali do siebie w tonie podziwu: Hitler to jednak jest ktoś. Trzeba przyznać, że ma sukcesy. System działa. W tym samym czasie służba bezpieczeństwa SD gromadziła raporty o nastrojach w społeczeństwie. Nazisci chcieli wiedzieć, co ludzie myślą naprawdę. Te grube tomy też opublikowano. Okazało się, że raporty tajnej policji i grypsy socjaldemokratów oddają te same nastroje!

Reżim zaczął tracić popularność dopiero w latach 1942-43, po inwazji na ZSRR. Ludzie zaczęli myśleć, że może Hitler nie jest takim geniuszem. Kiedy armia zaczęła przegrywać na wschodzie, zaczęli się też bać, co będzie dalej. Ale reżim trwał i był popierany przez Niemców do wiosny 1945 r., niemal do samego końca.

W Elblągu w ogóle nie było wojny

A strach i poczucie naciągającej kłębki?

- Były, ideologiczne poparcie spadało, ale utrzymywał się konsensus umysłowy, pomieszczenie strachu i lojalności wobec państwa. A państwo do ostatnich chwil działało, instytucje działały, służby pracowały. W miastach

i miasteczkach pracowały oddziały partii, komórki Hitlerjugend, poczta, transport, straż pożarna, policja. Młodzi ludzie nie wyobrażali sobie życia bez Hitlera.

Oczywiście, kiedy już nadchodzili Amerykanie, a ktoś mówił, że może trzeba pójść do nich i poprosić, żeby nie bombardowali miasteczka, gestapo natychmiast go rozstrzeliwało. Gestapowcy zabijali ludzi, którzy już wywieszali białe flagi, a potem szybko odkładali broń, zmieniali ciuchy i uciekali.

Moja matka mieszkała w Elblągu. Tam w ogóle nie było wojny. Jako młoda dziewczyna była aktorką. Jeździła po okolicy, np. do Gdańska, i występowała radośnie jak gdyby nigdy nic. Do ostatniej chwili. „Potem nagle przyszli Rosjanie” - mówiła. Nagle!

Wuj był żołnierzem i pod koniec wojny się ożenił. Mój dziadek pojechał wówczas na ślub do Bawarii pociągiem z Gdańska i wrócił do Elbląga w grudniu 1944 r.! A dwa tygodnie później musieli uciekać. Mama mi opowiadała, że pojechał pospieszonym, który był trochę droższy. Pociągi jeździły normalnie do końca.

Jakie oni musieli mieć wtedy poczucie bezpieczeństwa! Wierzyli, że Wehrmacht nigdy nie pozwoli Rosjanom postawić nogi na niemieckiej ziemi. Uciekli dopiero wtedy, gdy walki toczyły się 800 metrów od naszego domu w Elblągu.

Mama mi to wszystko opowiadała. Lata jej zajęło uświadomienie sobie, co się wówczas naprawdę stało. To dzięki jej opowieściom zostałem historykiem.

Niemcy długo okrywał ciemny kożuch niewiedzy oraz kłamstw i milczenia tych, którzy wiedzieli. Starsze pokolenie ukrywało przed nami, młodymi, dwie tajemnice - historię i seks.

Sprawcy, czyli kaci, milczeli i kłamali z oczywistych powodów. Z ofiar mówiło tylko bardzo niewiele. Żydzi nic nie mówili, bo byli martwi. Ale książki się ukazywały. Rozmiary masowych mordów stały się jawne w toku debat w latach 80. A pozostali nie chcieli wierzyć: „Naprawdę? To mogło się wydarzyć? Czyli nie tylko przegraliśmy wojnę!”

Mówiono więc np. tak: „To była wojna. Wojna to wojna. Dzieją się na niej straszne rzeczy”.

Kiedy wyszło na jaw, że ponad 3 mln sowieckich jeńców wojennych zostało w niewoli zagłodzonych na śmierć, odpowiadano, że 1 mln jeńców niemieckich zmarło w sowieckiej niewoli. „Oni też nam to robili” - mówiono dla symetrii. A o ludziach, których zbrodnie ujawniano, mówiono: „Mieli ciężkie życie. Ciężki los (Schicksaal). Brzemie obowiązku”.

Ale im więcej czasu upływało, tym horror nazizmu był większy. Myśmy pytali: „W jakim społeczeństwie właściwie żyjemy?”

Długo można było ukrywać prawdę, próbować zapomnieć, zaprzeczać jej nawet, ale siła faktów stała się nieodparta.

Same fakty nie mówią. Musi być wola ich uznania.

- A jednak mówią. Dlatego obecna niemiecka prawica nie zaprzecza prawdzie, lecz próbuje ją pomniejszyć, czyli zlekceważyć zbrodnie nazizmu. Mówi: „Owszem, tak było, ale cóż znaczy te 12 lat reżimu wobec tysiąca lat historii niemieckiego narodu. Tyle co pchle gówno”.

Nie wszyscy musieli się chować, jak tamten młody oficer SS. Zbrodniarze żyli między ludźmi pod swoim nazwiskiem. Heinz Reinefarth był posłem do lokalnego parlamentu i burmistrzem Westerlandu. Miał nawet tablicę pamiątkową po śmierci jako zasłużony, wybitny obywatel.

- Takich przypadków jak ten Reinefartha były tysiące. Pewien wysoki rangą esesman już w 1945 r. został skazany na śmierć za wymordowanie ok. 800 tys. osób na Wschodzie. Potem zamieniono mu wyrok na dożywocie. I rozpoczęła się kampania nawołująca do jego uwolnienia. Bronił go jeden z ojców założycieli Republiki Federalnej i współtwórca konstytucji z 1949 r., socjaldemokrata Carlo Schmid, w którego kancelarii pracował przed wojną jako młody prawnik. Schmid mówił, że był błyskotliwym młodzieńcem, który wpadł w złe towarzystwo. Kiedy esesman wyszedł na wolność w 1955 r., urządzono mu w Stuttgarcie uroczyste przyjęcie powitalne. Mówiono: „Biedak, miał tragiczne życie, ciężki los”.

Jeśli społeczeństwo chce się zmieniać, musi stawić czoło prawdzie i faktom. Ale musi tego chcieć. Powtarzam: przemiana społeczeństwa

niemieckiego w demokratyczno-liberalne to prawdziwy cud niemieckiej historii.

Wehrmacht - ostatnia linia obrony

W swojej historii Niemiec w XX w. wspomina pan przełomową debatę o roli Wehrmachtu w nazistowskich zbrodniach. Zaczęło się od wystawy w 1995 r. To był szok w Niemczech?

- Dla niektórych tak, ale dla wielu innych nie bardzo. Alfred Dregger, rzecznik parlamentarnej CDU, protestował, że nie można zaakceptować ataku na honor niemieckiego żołnierza. Na dobrego żołnierza. W biurze Dreggera pracował wówczas Alexander Gauland, dzisiejszy przywódca prawicowej Alternatywy dla Niemiec. - Ktoś, kto całe pokolenie wojenne chce zrównać z bandą kryminalistów, uderza w serce Niemiec. Nie wolno nam tego tolerować - mówił Dregger.

Odpowiedział mu Otto Schily, socjaldemokrata, były działacz Zielonych. Wspominając dzieje własnej rodziny, powiedział o swoim teściu, rosyjskim Żydzie, który jako jedyny walczył jako partyzant przeciw Wehrmachtowi: - Walczył przeciw armii, która prowadziła wojnę eksterminacyjną i popierała haniebne mordy Einsatzgruppen. Przeciw Wehrmachtowi, który stoczył się do poziomu narzędzia fanatycznego rasizmu i bestialstwa hitlerowskiego reżimu i dlatego utracił cześć.

Podobnie jak Dregger wypowiadał się Helmut Schmidt, socjaldemokrata. Mówił, że nie słyszał i nie wiedział o zbrodniach Wehrmachtu. Być może wcale nie kłamał. Służył krótko, a front miał kilka tysięcy kilometrów, nie każdy musiał o wszystkim wiedzieć. Ale zasadniczy sprzeciw polegał na tym, że Wehrmacht to ostatnia linia obrony, której nie możemy oddać.

Niemcy przeszli przez kilka faz rozliczeń ze zbrodniczą przeszłością. Najpierw jej zaprzeczano, potem „nie wiedzieliśmy”, jeszcze później: owszem, zbrodnie były, ale armia nie brała w nich udziału, a tu doszliśmy do punktu, że niestety i Wehrmacht był częścią aparatu masowych mordów.

Ale i ta ostatnia linia została ostatecznie przełamana. Chociaż skrajna prawica tej granicy przejść nie chce i odmawia lojalności wobec rządu. Ale to nie więcej niż 10-15 proc. Niemców. We wschodnich landach na tę prawicę głosuje do 20 proc., a 80 proc. jest jej przeciwnych. W zachodnich landach ta proporcja jest jak 10 do 90 proc.

W sumie więc ta praca nad pamięcią to wielki sukces. Choć oczywiście nie jest dany raz na zawsze.

Przemiana społeczna dzięki debatom o przeszłości ma inne konsekwencje. Związana jest z nią np. gotowość większości Niemców do przyjęcia ponad 1 mln uchodźców z Syrii, reformy kwestii przerywania ciąży czy akceptacji związków jednopłciowych. Te dramatyczne pokoleniowe zmiany też zajęły kilkanaście lat. Wszystkie są też skutkiem lat dobrej edukacji, średniej i wyższej, która objęła miliony ludzi. Ponad 50 proc. Niemców ma studia.

Czy książka Jonathana Littella „Łaskawe” miała w Niemczech wpływ na debatę o przeszłości?

- Owszem. Chociaż ja jej nie znośm. Odmówiłem nawet publicznej debaty z Littellem, a we „Frankfurter Allgemeine Zeitung” napisałem krytyczny tekst. Powieść jest dobrze udokumentowana, ale z fałszywym przesłaniem. **Dlaczego?**

- Bo fałszywie przedstawia elitę SS. Oficerowie SS to była bardzo dobrze wykształcona, młoda elita nazistowskich Niemiec. A nie brutalni i prymitywni dowódcy jak SA. A Littell przedstawia esesmanów jako wynaturzone, zboczzone bestie, które śpią z własną siostrą, onanizują się na grobach i współżyją ze zwłokami.

Wiem, że Littell czytał moją książkę o Wernerze Beście, zastępcy Heydricha, człowieku, który był prawdziwym mózgiem SD i SS, twórcą volkistowskiej teorii społecznej. Werner Best dokładnie planował zbrodnie Einsatzgruppen na froncie wschodnim. Max Aue w książce Littella jest częściowo na Beście wzorowany, ale autor robi z niego psychopatycznego potwora. Uważałem, że ten obraz cofa nas w rozliczeniach z nazistowską przeszłością.

Tacy ludzie jak Best czy Reinefarth kierowali aparatem mordu, ale po wojnie wzięli udział

w budowie nowego państwa. Klęska nazizmu ich zmieniła. Nazizm jako ideologia darwinistyczna został pokonany, uznali więc, że nie był dość silny. Przestali być nazistami, choć - rzecz jasna - nie zostali demokratami czy liberałami. Nadal byli autokratami. Ale po wojnie nie byli już zbrodniarzami. Pracowali, byli szczęśliwi, że udało im się przeżyć i że nie popełnili samobójstwa jak wielu innych, chociaż oczywiście zaprzeczali własnym zbrodniom.

Best został po wojnie skazany na śmierć, ale go nie stracono, a potem zwolniono. Został wziętym prawnikiem w firmie w Mühlheim, w tym samym mieście, w którym ja dorastałem. Moja matka go znała jako niezwykle dobrze wychowanego człowieka. Bardzo się zdziwiła, gdy się dowiedziała, co robił w czasie wojny.

Bez socjaldemokratów się nie obejdzie

Czy nowa prawica jest zagrożeniem dla niemieckiej demokracji?

- Nie tak bardzo obawiam się o Niemcy, znacznie bardziej o Europę i świat. To, co się dzieje w USA, Wielkiej Brytanii, Skandynawii, we Włoszech, Francji, Polsce, na Węgrzech. Alternatywa dla Niemiec ma u nas 13-15 proc. poparcia. Sporo, ale to partia jednej sprawy - imigracji; przedtem miała 3-4 proc. i była na krańcu istnienia.

We Włoszech mamy jawnego faszystę jako ministra MSW. Podobnie w Austrii. We Francji Front Narodowy ma ponad 30 proc. głosów. Na tym le Niemcy to nadal oaza, a nawet najpotężniejszy bastion liberalnej demokracji w Europie.

Nie obawiam się, że Niemcy staną się znowu narodowosocjalistyczne, ale boję się, że liberalna demokracja w Europie się rozpadnie.

Tuż po zjednoczeniu Niemiec zaniepokojona Margaret Thatcher pytała serio, czy teraz powstanie IV Rzesza. Helmut Kohl wydał jej się jakimś nowym wcieleniem Hitlera. Mówiła: „Pobiliśmy Niemców już kilka razy, to znowu ich pobijemy”. Brytyjczycy nie mieli pojęcia, co się dzieje w Niemczech. Amerykanie wiedzieli za to bardzo dobrze.

A niedawne zamieszki skrajnej prawicy w Chemnitz?

- Media się na to rzuciły, i to jest zrozumiałe. Ale nie pamięta się, że w latach 1990-93 w napaściach skrajnej prawicy na uchodźców, azyłantów, w dawnym NRD, w Hoyerswerdzie, Rostoku i innych miastach zginęło 49 obcokrajowców. Teraz nikt nie zginął. Bardzo dużo się zmieniło w Niemczech od tamtej pory. Owszem, ta skrajna prawica krzyczy na ulicach: „Teraz, teraz będzie narodowy socjalizm!”. Ale nic z tego nie wynika. To wciąż jest jednak znikoma mniejszość. Mamy większe problemy w Niemczech. Owszem, AfD jest otwarta z prawej strony na neonazistów, i to jest potencjalnie groźne.

Podobnie jak PiS na skrajnych narodowców z ONR.

- I podobnie jak włoska Liga na jawnych wielbicieli Mussoliniego. Mnie jednak najbardziej martwi to, że jak rządy tego straszego blazna Trumpa potrwać dłużej, to sprawy wszędzie mogą pójść w złym kierunku.

W Niemczech mamy kryzys przywództwa. Kanclerz Merkel prawie przestała się wypowiadać, a jak mówi, to brzmi jak lodówka. Merkel odchodzi, ale jej następczyni to niewiadoma. Słabną socjaldemokracja i chadecja, a umacniają się Zieloni. Jak skrajna prawica urośnie do 20 proc., może być groźne. Nastroje społeczne są jednak gorsze niż obiektywna sytuacja. Gospodarka jest potężna, mamy już dziesięć lat stałego wzrostu. Niemcy są niewiarygodnie bogate. Młodzi ludzie, którzy w latach 60. buntowali się przeciw państwu, dziś mogą być z niego dumni. Choć mówi się też, że nam się powodzi za dobrze. A jak kraj jest syty i bogaty, to się nudzi i mogą mu głupoty przychodzić do głowy.

W Polsce mamy odrodzenie nacjonalizmu, ale nie z powodu poczucia zwycięstwa, to szczególnie nacjonalizm męczeński, czerpiący siłę z roli ofiary i porażek.

- Tak, wiem, często tu bywam. Ale Polska jest podzielona na pół. To trudne do zrozumienia. Moja matka przyjechała tu w latach 90. Odwiedziła Gdańsk i rodzinny Elbląg. W Elblągu miała mieszane uczucia, to jasne, ale ogólnie już wte-

dy powiedziała mi: „Miałam zupełnie fałszywe wyobrażenie Polski”.

Jakie?

- Wiadomo: polnische Wirtschaft. Ale Polska jest przykładem niezwykle sukcesu, który w Niemczech jest powszechnie podziwiany. Zmieniła się przez 25 lat bardziej chyba niż wcześniej od 1920 r. Tym większe jest teraz zakłopotanie z powodu tego, co się tutaj dzieje. Polska była ostatnio bardzo ważnym krajem dla Niemiec, mieliśmy wspólne cele, sprzyjała zjednoczeniu Niemiec. A teraz ma się wrażenie, że wraca do XIX wieku.

Może te gwałtowne zmiany były w Polsce za szybkie, za intensywne, za głębokie. Może musiały się spotkać z reakcją tych, którzy nie mogą za nimi nadążyć, przede wszystkim mentalnie. Może to właśnie PiS chce te przemiany zatrzymać. Ale jeśli to powrót do dawnych, lepszych czasów, to przecież jest to nonsens. Nie ma żadnych lepszych czasów, do których można wracać. Co? Może do I czy II wojny!? Dziwne, że tylu młodych ludzi rozgląda się za prawicą i nacjonalizmem.

Ale przemian nie da się zatrzymać. Połowa Polaków należy do liberalnej kultury Zachodu i chce w niej żyć. Ten proces ma niepowstrzymaną dynamikę. Uważam, że na dłuższą metę Polacy przeorganizują swoje społeczeństwo i pójdą naprzód. To moja optymistyczna prognoza. Pesymistyczna jest taka, że - jak pokazuje przykład USA - ekonomiczny sukces idzie w parze z prawniczym populizmem.

Jest pan bezlitosny w rozprawianiu się z przeszłością nazistowską, ale atakował pan również nową lewicę w latach 60. i 70. za ich trockistowskie czy maoistowskie ciągoty. Mówi i pisze pan jak integralny liberalny demokrat. Czy taka postawa, odporna na skrajności z lewa czy prawa, może być zbawieniem dla dzisiejszej Europy?

- Wywodzę się z lewicy. Protestowałem za młodu przeciw broni nuklearnej jak moi koledzy. Kiedy na demonstracji zaatakowała nas policja i musieliśmy uciekać, moja dziewczyna upadła, bo miała buty na wysokich obcasach. Chciałem jej pomóc. Obudziłem się następnego dnia w komisariacie pobity. Moim bohaterem był Daniel Cohn-Bendit, którego do dzisiaj bardzo poważam. Ale z komunizowania wyleczyły mnie studia nad hiszpańską wojną domową i rozprawa partii komunistycznej i sowieckiej bezpieki z trockistami z POUM.

Dzisiaj jestem liberalnym demokratą czy burżuazyjnym intelektualistą w sensie „bürgerlich”, czyli obywatelskim, mieszczańskim, ale nie liberałem w ścisłym ekonomicznym sensie. Nie wiem, czy taka postawa jest zbawieniem dla Europy. Myślę, że jakiś sojusz chadecji, socjaldemokratów i Zielonych jest potrzebny i w Europie, i w Niemczech. Potrzebni są chadecy konserwatyści, którzy są przywiązani do kultury chrześcijańskiej i wartości rodzinnych, do czego mają prawo. Ale bez socjaldemokratów się nie obejdzie, bo trzeba rozwiązać problem ludzi biednych. Nie mają już klasy robotniczej w dawnym sensie, ale bieda jest i musi się nią zaopiekować państwo. Bez tego zbawienia nie będzie.

Sądzę też, że partie i programy partyjne będą słabnąć. Coraz ważniejsze będzie raczej przywództwo osób, postaci. To może być i nowe wyzwanie w dobrym sensie, i - jak pokazuje przykład Trumpa - zagrożenie. ●

***ULRICH HERBERT** - ur. w 1951 r., bada głównie epokę nazistowską i historię Niemiec w czasie II wojny światowej. Profesor Uniwersytetu we Freiburgu. W 1999 r. otrzymał Nagrodę im. Leibniza za prace o historii najnowszej. Autor monografii o III Rzeszy „Das Dritte Reich: Geschichte einer Diktatur”, Monachium 2016, oraz historii Niemiec w XX w. „Geschichte Deutschlands im 20. Jahrhundert”, Monachium 2014

